Rok 1901. Lwów, 21. Lipca Nr. 28.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·—	miesięcznie: 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·—	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·—	„ ½
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO“ Lwów Cicha 5.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.

Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE“ po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego“ po 2 korony od 100 egzempl.

Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego“ we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“, ul. Cicha 5.

Rok 1901. Lwów, 21. lipca. Nr 28.



TYGODNIK NARODOWY.

Redaktor: Klemens Kołakowski. Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11, Administracya przy ul. Cichej l. 5.

Treść Nr. 28:

Sprawiedliwość i miłosierdzie.

(Dokończenie).

Autor, podstawiając miłosierdzie pod działalność różnych stowarzyszeń, nic wspólnego z filantropią nie mających, potępia organizacyę współczesną miłosierdzia dla tej błahej przyczyny, że nie daje „wzruszeń osobistych", „nie jest polem naszej gimnastyki moralnej", a więc — znieczula serce. Sądzimy jednak, że bodźcem czynu dobrego, silniejszym i lepiej umotywowanym niż wzruszenie litości — bywa poczucie społecznego obowiązku.

Ogół nasz jednak wielkiego prawa obowiązku dokładnie nie pojmuje, ale natomiast uwielbia donkichoteryę czułostkową, mającą ujście w czynach tego rodzaju, jak ów fakt, ujawniony na konkursie cnoty. Młoda dziewczyna, podróżująca na okręcie, przez odruch litościwego serca oddała cały swój fundusz, przeznaczony na drogę, aby uwolnić od aresztu jakiegoś nicponia, który wykroczył przeciwko karności wojskowej. Mówię „nicponia", bo mężczyzna, przyjmujący od kobiety pieniądze dla uchylenia się od zasłużonej kary — na inne miano nie zasługuje.

Sprawozdania życiowe ujawniają często w stosunkach naszych przerost serca, lecz natomiast stwierdzają zanik sumienia. Niektórzy ekonomiści (H. Spencer) godzą się z miłosierdziem osobistem, pod warunkiem jednak, aby miłosierdzie nie wkraczało w dziedzinę prawa, gdyż na tem polu występuje istotna jego władczyni — sprawiedliwość.

Miłosierdzie a sprawiedliwość są to dwa światy zupełnie odrębne: pierwsze — to dział serca, uczucia i wywołanych niem czynów pod hasłem: „Dla miłości Boga — ukochaj mnie"; druga — z opaską na oczach i wagą w dłoni z dewizą „Suum cuique", jest sumieniem społecznem i reguluje wartość pracy, usług i win ludzkości. Ze wszelką słusznością można twierdzić, że społeczeństwo wymaga raczej sprawiedliwości, niż miłosierdzia; gdyby sumienie kierowało czynami jednostek, a sprawiedltwość sprawami społeczeństw, miłosierdziu niewiele pozostałoby do roboty.

Autor niewłaściwie łączy wyrażenie „sprawiedliwość" z określeniem pojęć tego rodzaju, jak „waga„, „cena", dla których zupełnie wystarczającym przymiotnikiem jest: rzetelna właściwa" Merkury był zawsze trochę oszustem, w transakcyach kupieckich, nawet tego rodzaju, jak handel sytego Jakóba z głodnym Ezawem, kupca weneckiego, lub owego operatora, nakładającego cenę na swoje cięcia, sprawiedliwość jest co najmniej gościem arystokratycznym, ambarasującym. Tu, nawet owemu doktorowi, jeżeli on sam swoją umiejętność oznaczył etykietą „towaru" — przystoi tylko — rzetelność kupiecka, t. j. cena, jaką popyt nałożył na posiadaną wiedzę, towar, przedmiot wartościowy. Na targowicy świata w ten sposób praktykuje się sprzedaż wiedzy, pracy, mięsa, chleba: z taką handlarską etykietą staje tam teraz nawet i cnota.

Polem działania sprawiedliwości jest także dział społecznych urządzeń, mianowicie: stosunek siły do słabości, władzy do rządzenia, bogatych do ubogich; tu sprawiedliwość jest i podstawą i jedynym regulatorem.

Ludzkość cywilizowana miała zawsze uznanie dla tej kierowniczki spraw ziemskich; jeżeli twarde, bezwzględne stosowanie prawa dało początek aforyzmowi: „Summum jus — summa iniuria" (szczyt sprawiedliwości jest szczytem niegodziwości), trzeźwy jednak i praktyczny umysł rzymski widział w prawie moralne obręcze ludzkości, a w sprawiedliwości strażniczkę tego prawa. Ponosząc ciężary, nakładane przez prawo, z westchnieniem rezygnacyi, ale i uznania, mówił: „Dura lex — sed lex", a w sprawiedliwości widział podwalinę tronów.

W stosunkach współczesnych uderza znamienny rys jeden: wszędzie w teoryi dziedziny prawa są ściśle określone, wszelkie objawy życia pod strychulec prawa podciągane, ale w praktyce prawo zostaje martwą literą, a bezprawie broi. Owa „solidarna odpowiedzialność silnych za słabych", owo „wchłanianie miłosierdzia przez sprawiedliwość" jest illustrowane przez silną Anglię wobec Transwalu, przez sytego i tłustego niemieckiego Michela i chudych Poznańczyków i t. d. i t. d. — do nieskończoności.

I ten rozdźwięk pomiędzy prawami a czynem, te oburzające dwie miary są klęską moralną doby dzisiejszej, nie zaś twarde, ale słuszne wymogi sprawiedliwości.

Autor, uzasadniając teoryę „wchłaniania" — mówi: „Każde prawidło sprawiedliwości jest pięknym kryształem o kształtach geometrycznych, dlatego też zasila ona materyałami, wiedzą ścisłą i formalistyczną; ale kryształ rośnie zwolna w swem morzu macierzystem, a karmi go — miłosierdzie".

Porównanie mniej ścisłe: kryształ nie rośnie w „morzu macierzystem"; jego lśniące sześciany raz utworzone w tajemniczem laboratoryum ziemi trwają w niezmiennej formie. I idea sprawiedliwości, skrystalizowana w poczuciu ludzkiem jako wspomnienie pierwotnej doskonałości, trwa jednolita w tej właśnie, lekceważonej przez p. Gide'a maksymie: „Każdemu według zasług". Lecz, aby stosowanie tej kryształowo jasnej, ale twardej zasady nie stało się dla ludzkości „szczytem niegodziwości" — kryształy sprawiedliwości łagodzi gorący płomień — miłosierdzia.

Są to dwie potęgi jednakiej siły, lubo różne, i wchłonąć jedna drugiej nie zdoła, dla dobra zaś ludzkości nie należy życzyć sobie podobnej ewentualności.

Niech raczej idą współrzędnie te dwa najwyższe, najszczytniejsze pojęcia, niech w społeczeństwie budzą serce i wyrabiają sumienie, a dopełniając się nawzajem, darzą szczęściem ludzkość.

A ziemi, rdzawej od krwi, smętnej od łez i cierpień, niech świeci głęboka, rozumna i dobra zarazem zasada: Sprawiedliwość oddana każdemu — to pokój.

S. K.

Dobry sędzia.

— „Możnaż stosować artykuły prawa, nie rozumiejąc ich? możnaż zrozumieć istotę artykułów prawa, nie zgłębiwszy ich własną i osobistą inteligencyę? Według mego zdania, nie można sądzić, nie interpretując swych wyroków. Każdy człowiek ma zawsze jeden mózg i jedno sumienie; wskutek tego nie pojmuję, w jaki sposób może się „podwajać“, w jaki sposób może się nagle zmieniać w „sędziego bezstronnego“. Czyż sędzia nie jest takim samym człowiekiem jak inni ludzie, — nie ma nerwów, serca, żołądka?... Porzućmy próżne faryzeuszostwo: sprawiedliwość pozostanie tem, czem jest dzisiaj, to jest pozbawioną uczuć ludzkich, dokóki sędzia nie zechce przyznać, iż nie jest doskonałym i że może się omylić. Ale idźcież wytłumaczyć poważnemu członkowi trybunału, że jest człowiekiem jak inni! Gdy włożył na się sędziowskie szaty, wydaje mu się, iż się przetworzył w augura, w półboga nieomylnego, którego wyroki muszą być przyjęte jako niewzruszony dogmat. Dopóki duch nowy, odradzający, nie przeniknie do tej kasty feudalnej, która nie go dzi się zgoła z naszym ustrojem demokratycznym, społeczność będzie musiała ograniczać się do sprawiedliwości jurydycznej, która — mówię to głośno — sprawiedliwością nie jest. Ona jest raczej siostrą zemsty. Zaś społeczeństwo nie powinno się mścić na tych, co błądzili; powinno bronić się tylko, poprawiać błądzących, sprowadzać ich na prawą drogę“.

Innym razem znowu:

— „Gdy sędzia ma przed sobą oskarżonego, który zbłądził, lecz który przedtem żył uczciwie i zacnie, to dlaczegóż odmawiać mu prawa przebaczenia? Czyż nie powinien również okazać się łaskawym, gdy ma przeświadczenie, iż podsądny szczerze żałuje swego występku, opłakuje go gorzko, a wyrok potępiający będzie dla niego i dla niewinnej rodziny olbrzymiem nieszczęściem? Czyż w takim wypadku przebaczenie nie będzie najlepszym środkiem umoralnienia? Odpowiecie mi, że z podobnego prawa łaski mogą łatwo korzystać ludzie jej niegodni. Prawda. Czyż sędzia jednak i teraz nie myli się często, przyznając okoliczności łagodzące: czyż nie myli się, — chciałbym powiedzieć: mniej często, potępiając niewinnych?...“

Któż odzywa się tak śmiałemi słowy? Anarchista? Burzyciel porządku społecznego? Nie, prezes trybunału, „dobry sędzia“ z Château-Thierry, mieściny do niedawna znanej tylko z nazwiska wielbicielom La Fontaine'a. I idzie dalej jeszcze: zasady swe próbuje stosować w praktyce.

Młoda wieśniaczka, mająca niemowlę przy piersi i zniedołężniałą matkę-staruszkę, znalazła się bez środków do życia. W ubogiej chałupie od 36 godzin panuje głód. Dziecko płacze, matka jęczy z cicha na tapczanie. Luiza Menard biegnie do piekarza, jej krewnego, i błaga o kawałek chleba. Ten odmawia: idź żebrać gdzieindziej. Młoda kobieta chwyta z lady sklepowej bochenek chleba i ucieka z nim do swej lepianki. Piekarz przywołuje żandarmów i dąży z nimi w ślad za uciekającą. Gdy przybyli na miejsce, bochenek chleba w trzech czwartych zostal już przez zgłodniałych pochłonięty. Złodziejkę aresztują i wtrącają do więzienia.

Grozi jej kara upokarzająca. Prez. Magnaud jest atoli innego zdania. Odgrzebuje art. 64 kodeksu Napoleona, który odejmuje występne cechy czynowi, popełnionemu pod naciskiem siły wyższej. Siłą wyższą był głód. I jednocześnie motywuje swój wyrok w sposób, czyniąc społeczeństwo odpowiedzialnem za położenie biednej matki i córki, mrących z głodu. Magistratura oburza się, prokurator zakłada protest i sąd apelacyjny, lubo zatwierdza wyrok uniewinniający, kasuje jednak motywy.

Przed sądem staje uwodziciel, oskarżony o niedotrzymanie obietnicy małżeństwa. Mimo, iż poszukiwanie ojcowstwa we Francyi nie istnieje, prez. Magnaud, na podstawie jakiegoś niestosowanego dotąd artykułu, obarcza silną karą oskarżonego, narzuca mu obowiązek utrzymywania nielegalnego dziecięcia. — Zawiniłeś, płać!

I takich wyroków możnaby wyliczyć setki. Zwróciły one uwagę nie tylko Francyi, ale i całego świata. P. Henryk Leyret napisał o nich całą książkę p. t.: *„les Jugements du président Magnaud“*. „Dobry sędzia“ stał się jedną z najpopularniejszych osobistości we Francyi; proponowano mu kilkakrotnie z rożnych okolic mandat deputowanego. Nie chciał go przyjąć, uważając, iż na swem stanowisku przynosi krajowi większy pożytek. Wobec tej bezinteresowności, musiały upaść nawet głosy, pomawiające go o chęć reklamy i rozgłosu.

Lecz prez. Magnaud pragnie reform w sposobie wymierzania sprawiedliwości. Zwrócił się do Izby deputowanych z wnioskiem, aby na drodze prawodawczej udzielono sędziemu swobody w stosowaniu prawa. Sędzia miałby moc odpuszczania winy. Nawet w wypadku, w którymby przestępstwo zostało dowiedzione, sędzia mógłby okazać łaskę, jeśliby uważał, iż przebaczenie „umoralni“ podsądnego.

Jak wiadomo, we Francyi istnieje tak zwane prawo „prawo Berenger'a“, według którego przestępca, odpowiadający za pierwszy swój błąd, a mający za sobą życie uczciwe i moralne, lubo skazany zostaje na karę odpowiednio do artykułów kodeksu — kary tej wszakże nie ponosi. Wisi ona nad jego głową niby miecz Damoklesa, i jeśli jeszcze raz zejdzie na pochyłość, popełni występek, to do kary, którą nań wówczas sprawiedliwość nałoży, dołączonym będzie i pierwszy wyrok. Innemi słowy, prawo Berenger'a wybacza podsądnemu pierwszy błąd, w razie recedywy natomiast karze go za oba. Prez. Magnaud ta łaskawość nie wystarcza.

— Prawo Berenger'a — to wyrozumiałość. Ja żądam prawa przebaczenia.

Myśl jest niewątpliwie szlachetna. Na tego samego rodzaju argumentach opiera się w Anglii Spencer, domagający się zniesienia wszelkich kodeksów w sprawach karnych, a pozostawienia sędziom wolności sądzenia według sumienia. Lecz czy taka reforma możliwą jest dziś do przeprowadzenia? Możnaż rzucić na barki setek i tysięcy sędziów tak olbrzymią odpowiedzialność? Nawet we Francyi i Anglii, w krajach o cywilizacyi wysokiej, podobne rozszerzenie osobistej władzy sędziów wydaje się niebezpiecznem. Dla pewnej kategoryi przestępstw istnieją już sądy przysięgłych, które działają według takiej myśli przewodniej. Że nie zawsze działają prawidłowo, o tem świadczą liczne przykłady — choćby ten jeden z przed miesiąca: paryskie *jury* wydało na herszta bandy złodziejskiej, Milo, wyrok, pociągający karę śmierci, w przekonaniu, iż ukarany będzie ciężkiemi robotami. W mniejszych sprawach, przy nawale pracy, zbytnia swoboda sędziów mogłaby stać się dla nich samych fatalną. Pewnem jest, iż prawo jest zawsze twardem, trudnem do stosowania w ciągle zmieniających się powikłaniach życiowych. Lecz człowiek znowu nadto jest giętki, nadto zdolny do ulegania pewnym wpływom i wrażeniom. Ta druga właściwość mogłaby okazać się niebezpieczniejszą w skutkach, niż niedomogi pierwszej. W dzisiejszych warunkach ogólnej kultury etycznej, prawo Berenger'a, który nie oczyszcza zupełnie, lecz daje „przebaczenie warunkowe“, powinno wystarczać, w imię starej zasady, głoszącej: *le mieux est trop souvent l'ennemi du bien.*

Walerya Marréne-Morzkowska.

„Laboremus“

ostatni dramat

BIÖRNSTJERNE-BIÖRNSONE.

Cokolwiek przyszłość zawyrokuje o dzisiejszych kierunkach dramatycznych, przyznać trzeba, że ich hasła pochodzą ze Skandynawii. Przez pewien czas na czele nowej szkoły stał Ibsen, potem dopiero poznano utwory Strindberga. Przenikał je duch zupełnie od Ibsena odmienny, ale nie mający też nic wspólnego z panującym powszechnie szablonowym teatrem. Teraz znów Biörnson, którego utwory oparte były zwykle na realnych stosunkach, przerzuca się w ostatnich na pole symbolizmu. Takim jest ostatni trzyaktowy jego dramat „Laboremus“.

Rzecz rozgrywa się między pięcioma osobami, z których jedna byłaby wprost epizodyczną, gdyby w jednej prawie oderwanej scenie nie wpływała stanowczo na rozwiązanie. Osobą główną jest Lidya, znakomita pianistka, a razem Ondyna, przedstawicielka sił żywiołowych, istota, podlegająca tylko popędom, bez żadnego etycznego pojęcia, obdarzona przytem tajemniczemi władzami.

Przebywała ona w domu bogatego właściciela ziemskiego w Norwegii, którego chora żona potrzebowała muzyki, jako środka leczniczego. Choroba Amalii Wisby mogła się udzielić otaczającym, dla tego to jej córkę Borgny wysłano do Ameryki. Lidya nie lękała się zarazy, grywała chorej i przyniosła jej tak wielką ulgę, iż Kann, lekarz i przyjaciel domu Wisbych, pewny, że niebezpieczeństwo zostało usunięte, wyjechał na czas jakiś, powierzając swemu zastępcy staranie około zdrowia Amalii.

Tymczasem to, co stanowiło dotąd środek leczniczy, zamieniło się nagle w truciznę. Lidya zrazu pragnęła wyzdrowienia chorej, ale kiedy rozejrzała się w położeniu, pomyślała o zajęciu jej miejsca na świecie i zajęła je, naprzód w sercu pana domu. Wówczas wzrokiem i muzyką zwolna zabijała jego żonę, tem pewniej, że znalazła w nim sprzymierzeńca.

Nigdy jednak tych dwoje nie porozumiewało się z sobą wyraźnie, nie mówiło, ani o miłości, ani o nadziejach, budowanych na cudzej śmierci. Wszystko działo się w krainach ducha, było rozumiane bez

słów, zarówno przez nich, jak przez chorą, a nawet i przez doktora Kanna, który po swoim powrocie znalazł panią Wisby bez nadziei i od razu pojął powód jej śmierci.

Mimowolnie przychodzą tu na myśl ibsenowskie postacie. Rebeka z Rosmersholmu, która jednak daleko realniejszymi środkami usunęła z drogi swojej żonę Rosmera i ustęp z „Małego Eyolfa“, w którym tępicielka szczurów z naciskiem zaznacza, iż ma tylko władzę nad istotami, będącemi innym na zawadzie. Dostaje ją nad nieszczęśliwem dzieckiem w chwili, kiedy własna matka, widząc, że Eyolf zabiera pierwsze miejsce w sercu ojca, woła: „Czemużem go urodziła“. Tak samo Lidya nie mogłaby zabić pani Wisby, gdyby w jej mężu nie znalazła tajemniczego sprzymierzeńca.

Po śmierci żony, Wisby, nie zawiadamiając nikogo, ani nawet córki, wyjeżdża z Lidyą i poślubiła ją w obcem mieście.

Akt pierwszy rozpoczyna się nazajutrz rano. Ślubny welon i wieniec leżą jeszcze na stole, a młoda kobieta opowiada mężowi ranną przechadzkę i z wybuchami zwraca się do niego, dziękując za położenie, jakie mu zawdzięcza, ona niegdyś wiekuista włóczęga, zawsze zależna, zawsze drżąca o to, czy potrafi pozyskać łaskę publiczności.

Charakterystyczną rzeczą w tej scenie która stanowi akt cały, jest sposób wyrażania się Lidyi. Mówi ona, iż teraz i domy, i drzewa, i jeziora spoglądają na nią z życzliwością, z szacunkiem, gdy dotąd pokazywały jej tylko zimne, odpychające oblicze. Ludzie nie obchodzą jej wcale, co najwyżej, pomiędzy nimi mógłby obchodzić ją jeden na teraz mąż, ale nie ogół, nie społeczeństwo, z którem nic jej nie łączy. Stanowi to rys znamienny tej dziwnej postaci.

Wisby może także czułby się szczęśliwy, gdyby nie wyrzuty sumienia, których żona jego nie jest w stanie odczuwać. Lęka się ona tylko, by on nie odkrył tajemnicy jej czynów i jej przeszłości, w której była nie jedna brudna karta. Może dlatego chciałaby unikać ludzi, których mowa byłaby zrozumialszą dla męża, niż mowa martwych przedmiotów.

Podejrzliwe jej oko w pierwszym poranku wspólnego pożycia, odkrywa na jego czole ślad troski. Nie dziw, duch zmarłej ukazał mu się w nocy i przemówił, jednak słów usłyszanych za nic nie powtórzy żonie. Ale ona ich się domyśla. Duch zamordowanej musiał ją oskarżać.

Czy ten duch, czy też zwykła życiowa fala, uniosła serce Lidji od męża. W drugim akcie występuje Langfred, kompozytor, synowiec doktora Kanna. Pomiędzy kompozytorem a pianistką, która gra jego utwory, istnieje stosunek miłosny. Wisby pozostaje na boku, błaga on doktora, by zabrał stąd swego synowca, ale doktor jest zbyt mądry, by działać jawnie, wie, że perswazya wszelka, zamiast zrywać, zaciska miłosne węzły, że wszystko, co może Langfredowi przeciw Lidji powiedzieć, będzie raczej przemawiało za nią, postanawia więc użyć skuteczniejszej broni.

On i ona tymczasem marzą o wspólnej, twórczej pracy, o wielkiej operze Ondyna, rozpoczętej przez Langfreda, w której zadźwięczą siły natury Ondyna, to wcielenie najruchliwszego pierwiastku — fali, która wiecznie szemrze hymn tęsknoty i wyciąga ramiona do nieba, do tego, co stałe, co niezmienne, ażeby osiągnąć spokój upragniony. Langfred układając na szezlongu fałdy sukni Lidji, przyrównywa ją samą do fali. Ona znów mówi, że jego imię Langfred znaczy długi spokój.

Ale Langfred potrząsa głową, wbrew imieniowi, tego spokoju znaleźć nie może i dla tego od pewnego czasu daremnie usiłuje pracować. Gdy spogląda na Lidję, cisną mu się do mózgu motywy i melodye. Cóż z tego, kiedy nic z nich wytworzyć nie jest zdolny, biedzi się, dręczy, rozpacza nad swoją bezsilnością, ale jej przezwyciężyć nie może.

Lidja korzysta z tego, by go namówić do wspólnej ucieczki. Oddalą się od ludzi, którzy mącą im spokój, gdzieś daleko, do jakiejś tajemniczej pieczary, gdzie będzie tylko ich dwoje, tam stworzy mu ona taki spokój i taką ciszę, że zapomni o reszcie świata i będzie mógł uporządkować swoje pomysły.

W trzecim akcie doktór Kann, doskonale odgadując grę Lidji, wchodzi niespodzianie do Langfreda. Pakuje on pospiesznie do wielkiego kufra nuty, książki i to wszystko, co może być potrzebne do długiej podróży, ale przed stryjem wykłamuje się, jak może. Doktór oddaje mu odnalezioną ojcowską pieczątkę z dewizą „Laboremus“. A przytem mówi mu o dziewczęciu, które ma pod swoją opieką, jest to norweżka wracająca z Ameryki. Słyszała ona o temacie opery Langfreda, ale znajduje go zbyt monotonnym. Ondyna pełna tęsknot i pragnień, nie jest jeszcze zupełną, są w niej inne, mniej niewinne siły. Ondyna to fala, a fala jest okrutną i zdradliwą. Młoda dziewczyna wie o tem dobrze, i na dowód opowiada historyę śmierci Amelii Wisby. Łatwo się domyśleć, że jest ona jej córką.

Teraz Langfred pojmuje, dla czego mu Lidja spokoju dać nie może, Ondyna szukając go dla siebie samej tylko, odbiera go drugim. Miłość jej jest zabójcza, bo to żywiołowa siła, nie podlega prawom moralnym, które ludźmi rządzą, a przynajmniej rządzić powinny. Ondina, zabijając kobietę tem, czem ją wyleczyć miała, obraziła wszystkie ustawy społeczne, usprawiedliwienie jej leży w tem tylko, że pozbawioną jest wszelkich poczuć moralnych, że sama nie wie, co uczyniła. To przecież właśnie jest dowodem, że powinna być odtrąconą z towarzystwa ludzkiego, bo panują w niem pojęcia winy i odpowiedzialności, których ona nie pojmuje.

Te słowa Langfreda są ostatecznem potępieniem Lygji. Rozumie to dobrze, opuszcza go z rozdzierającym krzykiem. Na tem właściwie kończy się dramat.

Do osnowy jego przystosowany jest tytuł „Laboremus“ i myśl przewodnia. Po raz pierwszy jest w nim mowa o pracy, gdy Kann przedstawiając Wysby'emu szaleństwo jego małżeństwa, twierdzi, iż w życiu zbiera się zwykle owoce własnych posiewów, a Wisby po chwili namysłu oświadcza, iż on nigdy nic właściwie nie siał. „Wtem właśnie leży nieszczęście, odpowiada Kann, gdy się nie rzuca w rolę zdrowego ziarna, wschodzą na niej chwasty“. I oto dlaczego Wisby stał się pastwą namiętności. Nie mógł jej przeciwstawić żadnego celu, żadnej myśli żywotnej, jak ta, która ocaliła Langfreda, dlatego to opanowała go całego, doprowadziła do nieszczęścia i zbrodni.

Stary mistrz norweski, w nowym sposobie pisania zaznaczył wyraźnie ciągłość swej literackiej działalności. Zmienił formę, nie odstąpił od zasad, ale co więcej wypowiada w „Laboremus“ walkę rozkładowym czynnikom, jakie teraz tłumnie objawiają się w piśmiennictwie i dramacie. Protestuje przeciwko nim w imię praw człowieka, który dążyć powinien do panowania nad namiętnościami, zamiast ulegać ślepym żywiołowym siłom, którym dzisiaj dawane jest powszechnie pierwszeństwo. Björnson, na schyłku życia, tak samo jak w dniach młodości, stoi twardo przy obowiązku, przyznaje mu naczelne znaczenie w życiu, nie uznaje żadnych okoliczności uwalniających od jego spełnienia, i dalej idzie swoją droga, w imię haseł, którym służył zawsze, niezmiennie, z wiarą, że w nich jedynie jest prawda.

To samo już nadaje wielkie znaczenie jego utworom, tembardziej, że to znaczenie podnosi jeszcze szacunek, jaki otacza nazwisko twórcy, bo te zasady stwierdził całem życiem.

Prof. Stanisław Królikowski.

O udzielaniu się ludziom chorób zwierząt domowych.

(Dokończenie).

Wspomniane przezemnie cztery zarazy: wąglik, wścieklizna, nosacizna i gruźlica, są bezwarunkowo najbardziej i jakościowo i ilościowo ze wszystkich zoonozów dla ludzi niebezpieczne, przynajmniej patrząc się na nie ze stanowiska dzisiejszej nauki. Nie sądzmy jednak, aby po za niemi nie było już chorób zwierzęcych, udzielających się ludziom, lub że jest takich niewiele. Przeciwnie — szereg ich tak długi, że nie prędko bym skończył, chcąc o każdej choć kilka słów powiedzieć: promieniogrzybnica, choroba spotykana najczęściej u bydła rogatego, a cechująca się u tych zwierząt powstawaniem guzów na głowie, szyi i innych częściach ich ciała, może udzielić się człowiekowi i wywołać długie cierpienia i śmiertelne zejście; zaraza pyskowa i raciczna zwierząt przenosi się często na ludzi, jak to niejednokrotnie spostrzeżenia dowiodły, a błonica, ten straszny upiór rodziców, bardziej znana pod nazwą dyfterytu, także i u zwierząt się spotyka i przechodzi z nich na człowieka.

Mamy też wiadomości datujące się z ostatnich czasów, iż mięso pochodzące ze świń chorych na t. zw. różę, jest dla zdrowia ludzkiego szkodliwe.

Są również obserwacye, z których wynika, że zwykła nosacizna psia, czyli t. zw. psia choroba, może stać się dla ludzi niebezpieczną, widziano bowiem groźne zapalenia oczu, powstałe niewątpliwie z przeniesienia wydzielin chorobowych z psa na człowieka.

Muszę tu zrobić uwagę, iż według mego przekonania, nosacizna psia niesłusznie jest uważaną za zupełnie dla człowieka nieszkodliwą, szczególniej dla małych dzieci, które tak często stykają się z psami, zapadłymi na tę chorobę.

Znane mi jest spostrzeżenie, z którego wynika, iż ropne zapalenie spojówek, stale występujące u psa przy tej chorobie udziela się ludziom; w wypadku, o którym mówię, cała rodzina temu uległa.

Wreszcie wiele, wiele innych chorób zakaźnych zwierzęcych jest dla ludzi w ten lub w inny sposób szkodliwych; zaraza

płuca bydła rogatego, zaraza piersiowa koni, złośliwe biegunki różnych zwierząt domowych, nie mogą być dla ludzkiego zdrowia obojętne, jakkolwiek przekonywających na to dowodów jeszcze nie mamy.

A wrzody i w ogóle choroby złączone z ropieniem, które tak często spotykamy u zwierząt, czyż nie mogą wywoływać podobnych procesów u ludzi? Wszak wiemy, iż grzybki ropne, wyhodowane z ropni człowieka, mogą wywoływać ropienie u zwierząt, może więc być i odwrotnie. Mam nawet na to bezpośrednie dowody z własnego doświadczenia!

Czyż możemy tutaj pominąć choroby człowieka, powstające wskutek przeniesienia się nań pasożytów zwierzęcych z psa, bydlęcia, trzody chlewnej, konia i t. d.?

Trychinoza, ta straszna i tak często śmiertelna choroba, wszak powstaje wskutek jedzenia mięsa wieprzowego, — różnego rodzaju tasiemce, n. p. soliter, w podobny sposób dostają się do ustroju człowieka od trzody chlewnej, bydła rogatego i t. d.

Tęgoryjec dwunastnicowy (*Anchylostomum duodenale*), robak wywołujący u ludzi cieżką chorobę, zwaną „niedokrewnością złośliwą górników", na którą w ostatnich czasach, z przyczyny jej epidemicznego często charakteru, szczególniejszą zwrócono uwagę — przemieszkuje pierwotnie w ustroju konia i innych, zdaje się, zwierząt; a świerzbowce, wskutek których powstaje u człowieka wyniszczająca choroba skórna — wszak przenoszą się nań najczęściej ze zwierząt, mianowicie z konia.

Słowem mnóstwo jest chorób zwierzęcych, które wprost mogą udzielać się ludziom, jako takie, lub szkodzić w inny sposób.

A o ileż to dzisiaj, przy stosunkowo nieznacznym jeszcze rozwoju nauki o chorobach zakaźnych zwierzęcych, nie wiemy, że mogą wywoływać w ustroju człowieka groźne zaburzenia? Najczęściej tylko przypadek, niekiedy dochodzący aż do granic poświęcenia zapał badaczów, którzy sobie samym szczepili produkta chorób zwierzęcych — pozwalają zajrzeć w głąb ciemnej księgi przyrody i odkryć, że ta lub inna choroba, napastująca zwierzęta i dla nas jest niebezpieczną. Przyszłość da nam tego liczne zapewne jeszcze przykłady.

Ale trzeba wreszcie skończyć z ponurym obrazem tych ludzkich cierpień, które otrzymujemy w darze od zwierząt domowych. Dla rozjaśnienia go wspomnę jednak, że niektóre chorobowe właściwości tych zwierząt, mogą być dla człowieka pożyteczne, na nich to bowiem opiera się szczepienie ospy u ludzi, zapobieganie wybuchowi wścieklizny u pokąsanych, leczenie dyfterytu surowicą Bering'a i ropnicy surowicą Marmorka, usiłowania leczenia tężca. Wprawdzie poza ospą są to tylko zaledwie próby, ale próby obiecujące, które ukazują nam nowe kierunki, nowe drogi, dążące do korzystania nawet z choroby zwierzęcia! Dużo jednak jeszcze wody w rzekach upłynie, zanim nauka zdoła spętać choroby zwierzęce i uczynić je środkiem do leczenia chorób ludzkich. Tymczasem wiemy obecnie jedno tylko na pewne — t. j. że zwierzęta domowe — są wprawdzie dla nas przyjaciółmi, ale są też wrogami naszymi!

Czyż jednak z tego wszystkiego wynika, że należy nam co prędzej pozbyć się tych wiernych przyjaciół i niepowinnych wrogów? Wcale nie! — To nas uczy tylko i przekonywa, iż, jeżeli nie z takwanej przez wielu czułostkowości, to we własnym interesie, winniśmy nad zwierzętami roztoczyć czułą a rozumną opiekę, chronić je od chorób, bronić od zaraz, dbać przedewszystkiem o to, aby warunki, w których zwierzęta domowe żyją, były właściwe ich ustrojowi. Pod tym względem rzeczywiście musimy się pozbyć fałszywego sentymentalizmu, który rozpacza nad stosowaniem środków, zdążających do zmniejszenia ilości zwierząt nieprodukcyjnych, zasadą bowiem naszą winno być — dostarczenie zwierzętom jak najlepszych warunków bytu, co tylko możebne będzie wtedy, gdy nadmiar zwierząt zostanie usunięty. A gdy pomimo należytego utrzymania zwierzę zachoruje, nie powinniśmy zaniedbywać choroby i nie pozostawiać zwierzęcia własnemu jego losowi, lecz przez odpowiednie postępowanie dopomódz mu, gdy to możebne, chroniąc tem samem ogół i siebie od niebezpiecznych następstw.

Leopold Staff.

DZIEŃ DUSZY.

I.

Że zapracować sobie potrzeba pogodę
I ciszę jasną, ucz się, duszo, od wsi cichych,
Od starych, krzywych pługów i lepianek lichych,
Co mieszczą już dziesiąte pokolenia młode.

Bo ich starości mądrość dostojna jest złotem,
A że kto ziemi wiernym być umiał, ten boży:
Niech ci chłop namuloną dłoń na czole złoży
I pomaże cię świętem utrudzenia potem.

I ślubuj twardej pracy wieczne niewolnictwo,
Co nie jest jarzmem, jeno dumą i nadzieją
Na szczęsne, zasłużone spoczynku dziedzictwo.

A kiedy w bezczynności znużenia zadrzemiesz,
Przyśni ci się i pracę przypomni ci lemiesz,
Boś jest z tych, którzy dzieło ukończyć umieją.

II.

Błogosławiona chwila wieczornej godziny,
Gdy już ustają trudem znużone ramiona,
Gdy pod ciężarem snopów skrzypią wozów dzwona
A koła żłobią bruzdy głębokie wśród gliny;

Gdy jutra czeka zwleczon z szopy pług i brona,
I ciemnemi skrzydłami wiać przestają młyny,
Gdy syte bydło pędzą do obór dziewczyny,
A krowy mają mlekiem brzemienne wymiona:

Wtedy nagrodę bierze każdy trud człowieczy,
Ziemia swą wdzięczność daje za znój ludzkiej pieczy.
— Kto pracował w winnicy, nie jest bez zapłaty.

Wtedy bezczynna dusza moja krzepi ręce
Na twardy trud i marzy dożynkowe wieńce
I jakiejś wielkiej pracy zbiór bujny, bogaty.

III.

W żywiczną zieleń sosen mojej biednej strzesze
Stroję czoło, choć krzywa, zapadła i chroma.
W wnętrzu jej rozścielona rozzłoci ją słoma,
Ściany jej polnych kwiatów woniami owieszę.

Dusza ma w dom swój wraca z błąkań, a w uciesze,
Bo z plonem cierpliwego dnia pracy. Rękoma
Zakrywa zawstydzone oczy, bo się sroma,
Że tak nieufnie wiodła na rolę lemiesze.

Prowadzą ją mych tęsknot swaty dziewosłębie.
Znużona szczęściem pracy wiedzie w dom najcichsze,
Pogodne dziecię — radość — chwil dobrych podrzutka.

I jak kmieć po roboczym dniu, na chaty zrębie
Siada, patrząc z pogodą, jak pora dnia krótka
A pilna — złotem ziarnem napełnia jej spichrze.

IV.

Może kiedyś po długich dniach cierpliwej pracy,
Otworzywszy szeroko mej chaty zawory,
Patrzeć będę na pełne stodoły, obory.
Z sercem pogodnem, kornem, jak pańscy prostacy.

I kiedy słońce chować będzie się za lasy,
Zwołam was wszystkich do mnie, tu przed wrotą [moje,
Łaknącego nakarmię, spragnionych napoję
I otworzę przed wami wszystkie me zapasy.

I błogosławić będę każdemu, kto wchodzi
Pod dach mój z prośbą. Bierzcie! Dla was pracowałem!
A kto beze mnie bierze, nie jest mi jak złodziej!

Mnie starczy dobre słowo od was i kęs chleba,
Jam szczęśliw, żem nauczon przestawać na małem
I że mi tych dobytków wszystkich nie potrzeba.

Maksym Gorkij.

Makar Czudra.

BAJKA.

(Ciąg dalszy).

— Ehe! Zobar! Toć to ty! — krzyknął wesoło Daniło.

— Oto Łojko Zobar!

Wąsy oparły mu się o ramiona, gubiąc się w kędziorach, co były jak stal dźwierowana, oczy płoną, jak gwiazdy jasne, uśmiech — jak słońce całe. Bogiem się świadczę! Jakby go razem z koniem kowale z jednego kawała żelaza wykuli. Stoi oto, niby we krwi, w płomieniach ogniska i śmieje się, zębami błyska. Ehe, niech przepadnę, jeślim go już nie kochał, jak siebie samego, nim jeszcze słówko rzekł do mnie lub bodaj spostrzegł, że ja też żyję na świecie białym!

Tacy bywają ludzie, sokole! Spojrzy ci w oczy, a już dusza twa do niego należy, i nie wstyd ci wcale, nawet pysznisz się tem. Przy takim człowieku od razu lepszym się stajesz. Mało jest, bracie, takich ludzi. Dobra i to, choć mało. Niechby dużo dobrego było na świecie, to i tego nie mianoby za dobre. Tak to! Ale słuchaj dalej

Tedy Radda powiada: Pięknie grasz, Łojko! Któż ci to zrobił skrzypce takie dźwięczne i tkliwe? — Śmieje się Łojko; Sam robiłem! I zrobiłem je nie z drzewa, ale z piersi młodej dziewczyny, którą silnie kochałem, a struny tom z jej serca uplótł. Fałszują jeszcze trochę skrzypce, ale za to smyczek dobrze umiem w ręku trzymać! Widzisz?

Chłop, wiadomo, od razu stara się dziewce oczy mgłą przesłonić, by nie zapaliły mu serca, lecz przeciwnie, by je smutek po nim otulił. Więc i Łojko tak samo. Nie na taką jednak trafił. Radda odwróciła się i ziewając, rzekła:

— Gadali, że Zobar mądry i sprytny; otóż kłamią ludziska — i poszła.

— Ehe krasawico, ostre masz ząbki! — błysnął oczyma Łojko i zsiadł z konia. — Jak się macie, bracia! Do was przybywam.

— Witaj, gościu, orle! — odparł Daniło.

Ucałowali się pogadali i spać pokładli... Mocno spali. Z rana, patrzymy, Zobar ma łeb szmatą przewiązany. Cóż to? A to koń go śpiącego kopytem skaleczył. Eee! Zrozumieliśmy, co to za koń, i uśmiechnęliśmy się, i Daniło uśmiechnął się pod wąsem. Bo cóż, czy Łojko nie wart był Raddy? Ale gdzie tam! Niech sobie dziewka będzie najpiękniejsza, ale jeżeli duszę ma ciasną i płytką, to choćbyś jej na szyję pud złota nawiesił, to już wszystko jedno, nie stanie się lepszą, niż jest. No, dobra!

czyna, żegnając mołojca-junaka! Junak-mołojec dziewczynę do stepów na schadzkę woła! Wtem nagle — hej! Grzmi piorunem pieśń wolna, żwawa, aż słonku samemu, patrzaj, tańczyć się zachciało po niebie na jej nutę. Tak to, sokole!

Każda żyła w ciele rozumiała tę pieśń i kto tylko jej słuchał, stawał się jej niewolnikiem. I gdyby Łojko wtedy krzyknął: „do noży, bracia!“, tobyśmy wszyscy poszli z nożami na każdego, kogo by jeno wskazał. Wszystko on mógł z człowiekiem zrobić, i wszyscy go też kochali, mocno kochali, tylko Radda jedna nie zważała na chłopca; gdybyż tylko to, ale gdzie tam, nawet drwiła z niego. Silnie opętała dziewka serce Zobara, oj silnie! Łojko zębami zgrzyta, wąsy strzępi, oczy jak otchłań się ciemnią, a czasem to w nich coś takiego błyśnie, że o duszę bojaźń chwyta.

nach. I przemówiły skrzypce, jakby naprawdę były sercem dziewczęcem. Zaśpiewał Łojko:

Hej — hop! w mej piersi ogień wre
Stepy tak biegną w dal!
Jak wicher, tak mój rumak mknie,
A ramię ma jak stal!

Spojrzała nań Radda i zbliżywszy się, parsknęła śmiechem w twarz spiewakowi. Zapłonął niby zorza.

Hej — hop! pomkniemy szukać dnia!
Hej, koniu, bracie mój,
Stepy otula gęsta mgła,
Zaś tam hen — światła zdrój!



DZIWNA KOMPLIKACYA...

Żyjemy więc sobie, żyjemy wciąż na tem samem miejscu Dobrze się nam wtedy działo, i Zobar był z nami. To był kamrat! I mądry był jak starzec, i świadom wszystkiego, i książki rozumiał ruskie i węgierskie. Bywało, jak pocznie prawić, to i spać się nie chce, tylko słuchać go! A grał ci — niech mnie piorun trzaśnie, jeżeli jeszcze ktoś na świecie tak grał, jak Zobar! Pociągnie ci smyczkiem po strunach — to serce podskoczy, jeszcze raz pociągnie — to zamrze serce, słuchając, a on gra i uśmiecha się. I płakać i śmiać się chciało naraz, słuchając jego pieśni. Oto jęczy ktoś z pod smyczka żałośnie, jęczy, błaga o pomoc i szarpie ci pierś, jakby nożem. To znowu stepy prawią niebu gadki ciche, tęskne. Płacze dziew-

Pójdzie, bywało, nocą w stepy dalekie Łojko dzielny, i płaczą tam aż do rana skrzypce jego, płaczą o pogrzebanej wolności Zobara. My zaś leżymy, słuchamy, a myślimy: co będzie? Toć wiemy, że gdy dwa kamienie wzajem ku sobie się toczą, to pomiędzy nimi stawać nie wolno, bo zmiażdżą. Czekamy więc.

Siedzieli my raz w kupie i o różnych sprawach gadali. Tęskno się zrobiło, więc Daniło prosi Zobara:

— Zaspiewaj, Łojko, piosenkę, rozraduj duszę!

Ten wzrok utkwił w Raddę, która tuż obok niego twarzą do góry leżała i w niebo patrzała, i powiódł smyczkiem po stru-

Hej — hop! a szybko, żwawo mknij!
Hej, do tych niebios bram!
Nie trąć po drodze jeno swej
O księżyc blady tam!

Ale spiewał! Teraz nikt już tak nie spiewa! A Radda rzeknie, jakby wodę cedziła:

— Nie bujaj tak wysoko, Łojko, jeszcze może spadniesz do jakiego błota, nos i wąsy sobie powalasz, uważaj!

Dziko zerknął na nią Łojko, ale nic nie powiedział — przełknął te słowa i spiewał dalej:

Hej — hop! Wtem wzejdzie nagle świt
I w śnie zastanie nas.
Ej — hej! Toć wtedy obu wstyd
Płomieniem pożre wraz!

— Wspaniała pieśń! — rzekł Daniło — nigdy nie słyszałem takiej; niech ze mnie szatan sobie fajkę zrobi, jeżeli kłamię!

Nur stary wąsy srożył i ramionami wzruszał, a i nam wszystkim przypadła do serca dzielna pieśń Zobara. Jeno Raddzie nie podobała się.

— Tak właśnie komar bzyka, gdy orła przedrzeźnia — powiedziała, jakby w nas kule śnieżne rzucała.

— Ty bata może chcesz, Raddo, — przystąpił do niej Daniło, lecz Zobar cisnął czapkę o ziemię i cały czarny, jak ta ziemia powiada:

— Stój, Daniło! Dla ognistego rumaka — stalowe wędzidła! Daj mi córkę za żonę!

— Mądrze gadasz! — zaśmiał się Daniło — ależ weź ją sobie, skoro możesz a chcesz!

— Dobra! — rzekł Łojko i zwrócił się do Raddy:

— Posłuchaj mnie, dziewczyno, a nie bądź tak wyniosłą! Dużo ja niewiast widziałem, oj dużo! Ale żadna nie poruszyła tak mego serca, jak ty. Ech, Raddo! zdobyłaś ty moją duszę! Ale cóż robić? Co ma być, to będzie i.. ech! nie ma konia takiego, żeby na nim od siebie samego umknąć można!... Zaślubiam ciebie wobec Boga, swego honoru, twojego ojca i tych oto ludzi wszystkich. Ale wara ci od woli mojej wolnej, — jam jednak człowiek wolny i żyć będę tak, jak zechcę.

Tu zbliżył się do niej, a zęby ścisnął i oczyma błysnął. Patrzymy, wyciągnął do niej rękę — ot, myślim sobie, już okiełznała Radda konia stepowego! Wtem, widzim, rękoma wywinął i nawznak gruchnął na ziemię.

Co za dziw? Jakby go kula w serce ugodziła. To Radda opętała mu nogi biczyskiem rzemiennem, szarpnęła ku sobie — oto czemu przewrócił się Łojko.

I już znowu leży dziewka bez ruchu i uśmiecha się w milczeniu. Patrzym, co będzie, a Łojko siedzi na ziemi, głowę ścisnął rękoma, jakby się bał, że mu lada chwila pęknie. Potem cicho się podniósł i poszedł w stepy, nie patrząc na nikogo, Nur szepnął do mnie: „Pilnuj go!“ Więc skradałem się za Zaborem przez stepy w ciemności nocnej. Tak to, sokole!

Makar wytrząsnął popiół z fajki i znowu ją nabijał... Ja się bardziej w czekmen otuliłem i leżąc, patrzałem na jego twarz starą, czarną od upałów i wiatru On poważnie i surowo głową kiwał i coś szeptał do siebie; jego gęste, siwe wąsy poruszały się, a wiatr potargał mu włosy na głowie. Był jako dąb stary, od pioruna osmalony, ale wciąż jeszcze potężny i silny i dumny swą moca. Morze jak przedtem z brzegiem gwarzyło, a wiatr ten pogwar roznosił po stepach. Nonka już śpiewać przestała, a od chmur, co na niebie się skupiły, noc jesienna stawała się coraz ciemniejszą i straszniejszą.

Szedł Łojko, wlokąc nogę za nogą, głowa zwieszona, ręce jak dwa kije opadły; aż się dowlókł do jaru, co koło potoku, siadł na kamieniu i jęknął. Tak jęknął, że z żalu mi się serce krwią zalało, ale nie podszedłem do niego. Boleści słowem nie zagoisz — nieprawdaż? Właśnie! Siedzi on godzinę, siedzi drugą i trzecią — ani się poruszy.

I ja też leżę nieopodal. Noc była jasna, srebrny blask miesiąca zalał stepy całe, daleko widać było wszystko.

Wtem patrzę: od strony taboru spiesznie zbliża się Radda.

Wesoło mi się zrobiło. Pysznie! — myślę sobie — dzielna dziewka z Raddy! Oto podeszła do niego, on nawet nie słyszy. Za ramię go wzięła; zadrżał Łojko, odjął ręce i głowę uniósł. Jak ci nie skoczy i za nóż chwyci! Och, zarznie dziewkę, widzę; już chciałem krzyknąć, do taboru i do nich polecieć, wtem słyszę:

— Daj pokój, bo w łeb palnę!

(Dokończenie nastąpi).

J. Przyłuski.

Co to jest slöjd?

Wyraz ten w skandynawskim języku, stamtąd bowiem slöjd pochodzi, powstał z przymiotnika „slögh“, który oznacza zręczność, wprawność w ręku. W Danii wyrazu tego używano na oznaczenie czynności hańbiących, jak np. przemytnictwa, złodziejstwa — w ogóle jednak wyraz ten przyjął się jako nazwa zajęcia bardzo rozpowszechnionego poza granicami kraju naszego, szczególniej w Szwecyi.

Pod wyrazem slöjd rozumieć trzeba wszystkie roboty ręczne, wykonywane tylko rękami, lub przy pomocy narzędzi, lecz bez pośrednictwa maszyn.

Określenie to jednak nie jest określeniem tego samego, co rozumiemy pod nazwą rękodzieł, bo pomiędzy slöjdem a rękodzielnictwem zachodzą pewne różnice.

Jedna z głównych różnic pomiędzy temi zajęciami zachodzących jest ta, że, podczas gdy rzemiosła dążą jedynie do wydoskonalenia się w pewnym kierunku specyalnym dla osiągnięcia największych zysków materyalnych, - slöjd zaś, nie tracąc z widoku korzyści pieniężnej, podejmuje wyższe, poważniejsze zadanie wychowawcze: harmonijny rozwój ciała, ducha i serca.

Slöjd nie jest jakąś gałęzią fachowego wykształcenia. Ma on raczej wielkie znaczenie w wykształceniu ogólnem. Obejmuje on wyroby z drzewa, metalu, gliny, słomy, tektury, blachy, drutu, trzciny, sznurków etc. Można więc podzielić go na slöjd drzewny, metalowy, gliniany, tekturowy itd.

Najodpowiedniejszym i najwięcej do celów pedagogicznych nadającym się, jest slöjd drzewny, i bywa najwięcej w szkolnictwie stosowanym.

Slöjd tedy uprawiać można w domu lub szkole.

Wobec tego czem jest slöjd, zapytać by można, na jakiej podstawie nazwałem go jednym ze sposobów korzystnej pracy dla ogółu. Zaraz postaram się to wyjaśnić przez zaliczenie slöjdu do tej gałęzi pracy społecznej, która się łączy z dobroczynnością.

W drugiej połowie ubiegłego stulecia, pod wpływem zasad pozytywistycznych, rzucono się do pracy, przynoszącej ogromne zyski materyalne, do przemysłu. Ale byli ludzie, co i dla ducha pracowali, co starali się dźwigać tę wyższą a zapomnianą stronę człowieka. Dziś już powszechnem jest zrozumienie potrzeby dobrego wpływania na moralność jednostek z których ogół się składa; to też po ukazan u się fabryk, ukazują się coraz liczniej zakłady naukowe i dobroczynne. W tych ostatnich nietylko przytułek znajdują starcy, kalecy i chorzy, ale i zdrową naukę zasad moralnych i pracy znajdują zaniedbane młode istoty. Nie dość bowiem nakarmić głodnego, jego jeszcze trzeba urobić na człowieka, któryby w przyszłości nie był ciężarem dla społeczeństwa, lecz nadto przynosił mu korzyść. W wielu krajach rozwija się w tym celu tak zwany ruch etyczny.

Społeczeństwa czują, że niewielką byłoby pociechą, gdyby niebyło żebraków, a natomiast pełno było złodziei, zbrodniarzy, nieuczciwych i niesumiennych członków społeczeństwa, i dlatego starają się o urabianie dobrych ludzi. Pozbywa się społeczeństwo ciężaru, gdy potrafi nakłonić żebraków do pracy, która przynajmiej wyżywi ich samych i ma jeszcze pomoc, gdy ci żebracy stają się pracownikami choćby najniższego rzędu w dziedzinie przemysłu; ale niezmiernie dużo zyskuje społeczeństwo, gdy potrafi tych, co mogli być żebrakami tylko, albo nieuczciwymi, przerobić na sumiennych i zacnych, a przynajmniej zapobiedz części popełnianych przez nich nadużyć.

W tem ostatniem domaga i to bardzo dopomaga społeczeństwu slöjd.

Oto bowiem slöjd przynosi korzyści materyalne i dopomaga urabianiu ludzi moralnem.

Korzyści materyalne są takie: cechy w dawnem znaczeniu upadły. W teraźniejszym ustroju roboty rzemieślnicze wykonywa każdy, kto chce i jak chce. Stąd powstało mnóstwo partaczy, którzy swoją fuszerką, gorszym materyałem i złą robotą tworzą konkurencyę porządnym i sumiennym rzemieślnikom. Ogół zaś dobrej roboty od partackiej odróżnić nie potrafi — jest przez to wyzyskiwany i oszukiwany. Slöjd natomiast sprawę tę załatwi zadowalniająco, podnosząc praktyczną wiedzę we wszystkich w ogóle i urabiając na uczciwych pracowników, ludzi oddających się rzemiosłom. Bez wątpienia będziemy mieli umiejętniej, dokładniej i estetyczniej wykonywane roboty, jeżeli rzemieślnik przejdzie kurs slöjdu; z drugiej zaś strony ogół nie pozwoli się wyzyskiwać, umiejąc odróżnić złą od dobrej roboty.

I ta korzyść nie powinna być z widoku tracona, że niejeden sam sobie przedmiot zrobi, za który musiałby dużo zapłacić. Będzie to oszczędność u jednostek, a rzemieślnikom krzywdy nie przyniesie, bo im pozostanie dużo roboty, którychby człowiek prywatny wykonać nie mógł. Slöjd więc udoskonali rzemiosła, bo chłopiec, przeszedłszy kurs slöjdu, obeznany będzie z narzędziami i miarami i będzie mógł sam wiele robót odpowiednich jego wiekowi wykonywać samodzielnie. Tym sposobem rzemieślnicy otrzymają w kandydatach przygotowany materyał z wiadomościami ogólnemi, zdatny do wyspecyalizowania się w pewnej gałęzi.

Gdy w Szwecyi zaprowadzono slöjd, rzemieślnicy tamtejsi, myśląc, że to jest zamach na rzemiosła, nie chcieli przyjmować chłopców, którzy się slöjdu uczyli. Wkrótce się jednak przekonali, że slöjd nie tylko uszczerbku rzemiosłom nie przyniósł, ale przeciwnie podnosi je do godności ogólnego uznania i szacunku.

(Dokończenie nastąpi).

Produkcye spirytystyczne.

Za kilka dni rozpoczną się w Londynie ciekawe doświadczenia spirytystyczne, które się odbędą wskutek polemiki dziennikarskiej za i przeciw medyumizmowi. W całej Anglii spirytystyczna mania niesłychanie się rozwinęła, stała się po prostu umysłową epidemią. Otóż wielu wybitnych publicystów zaczęło ogłaszać artykuły, wyśmiewające spirytyzm, a w ślad za tem jakiś „Badacz Prawdy“, rzucił im wyzwanie, ofiarując pewne, dobrze sobie znane, ale zresztą nikomu jeszcze nieznane „medyum“ do publicznych doświadczeń. Pan ten zawiadomił prasę, że jego „medyum“, jest kobietą z wyższego towarzystwa, materyalnie całkiem niezależną, nie szukającą żadnych honoraryów, ani rozgłosu, przeciwnie, chcąc pozostać nieznaną nawet z nazwiska, a gotową do poniesienia wszystkich kosztów najściślejszego badania. — Pani ta, w stanie patologicznym, dokonywa „rzeczy nadzwyczajnych“. Twierdzi „Badacz Prawdy“, że kilkakrotnie już ta pani spowodowała „zmateryalizowanie się“ kwartetu muzycznego, złożonego z melodyj dawno pomarłych Indów! Miała też razu pewnego sprawić, że jakiemuś panu ukazał się nieboszczyk, brat jego; obaj rozmawiali z sobą wobec licznego towarzystwa w salonie dość długo — poczem nieboszczyk „rozmateryalizował się“ w coś, co wyglądało niby „deszcz elektryczny“. Pani ta gotowa jest poddać się najbardziej szczegółowej obserwacyi i sprawić w stanie kataleptycznym co następuje: Usadowiona w fotelu po za zasłoną, przymocowana doń taśmami, których wszystkie węzły będą opieczętowane specyalną pieczęcią prezesa komisyi śledczej, opuści fotel i ukaże się „kołu magicznemu“ i komisyi w zupełnie odmiennej formie ciała, w odmiennem ubraniu... potem wróci do fotelu w formie swej własnej, bez naruszenia taśm i pieczęci. Następnie powtórzy ten sam manewr, po zaszyciu jej w worku, który będzie okręcony sznurami i opieczętowany. Z góry poddaje się ta pani wszystkim możliwym warunkom, jakie tylko komisya sceptyków zechce nałożyć jej samej i kołu, a żąda tylko, by w czasie posiedzenia grał ktoś na fortepianie lub śpiewał i aby jedyna lampa gazowa w pokoju była ocieniona zasłoną barwy pomarańczowej, albo fioletowej. Uzasadnia zaś te żądania potrzebą skoncentrowania się i o ile możności sprowadzenia do jednego poziomu uwagi świadków — a tego właśnie mają dokonać w znacznej mierze: barwa światła i spokojne tony muzyczne.

Te wyznania „Badacza Prawdy“ przyjął słynny prestidigitator Maskelyne, właściciel, dyrektor i główny artysta „halli egipskiej“, świątyni wielce senzacyjnych misteryów sztuki kuglarskiej. Wiele osób zna dobrze tego londyńskiego Mefistofeles'a, który położył koniec karyerze niejednego już podmiotu medyumistycznego i nawet zdemaskował podobno arcysłynną Eusapię Paladino. Maskelyne, nie tylko jako król kuglarzy, lecz i jako człowiek wykształcony i obeznany z literaturą okultystyczną, należy do najskrajniejszych przeciwników teoryj spirytystycznych, a mężów takiej wszechświatowej reputacyi i w rzeczach ściśle naukowych takiej powagi, jakimi są sir W. Crookes, Wallace lub Richet, którzy przecież zaliczają się otwarcie do obozu... duchowierców, uważa i ogłasza za niekompetentnych do sądzenia tam, gdzie się kończy logiczny proces naukowy, a zaczyna pole szarlataneryi i zabobonnej łatwowierności. Maskelyne obiecuje zdemaskować medyum „Badacza Prawdy“. Zgodził się on na wszystkie warunki komisyi sceptyków i przystąpił do niej w charakterze prezesa.

Warunki zostały już właśnie ogłoszone. Do najważniejszych należy warunek obowiązujący tak medyum, jak nawet i członków „magicznego koła“ do poddania się najściślejszej rewizyi osobistej przed i po posiedzeniu. Rewizyę przeprowadzą specyaliści (kobiety dla pań) z dyrekcyi tajnej policyi. Nadto, tak medyum, jak członkowie koła mają zamienić przed każdem posiedzeniem ubranie własne na inne, dostarczone przez komisyę badającą. Zebrania będą się odbywały dwa razy na tydzień przez trzy tygodnie, w lokalu wynajętym przez prezesa komisyi; po każdej sesyi lokal będzie zamknięty i opieczętowany, klucze i pieczęcie zatrzyma prezes. Przebieg posiedzeń, sąd i wyrok komisyi ogłoszone będą po trzech tygodniach.

Zwyczaje zwierząt umierających.

Bardzo wielu uczonych oddaje się studyowaniu życia zwierząt, mało jest jednak takich, którzyby zwracali uwagę na objawy towarzyszące ich śmierci. W ostatnich czasach zebrał niektóre dane w tej kwestyi dr. Ballion. Przedewszystkiem zwrócił on uwagę na rozpowszechnione mniemanie, że zwierzęta czując zbliżającą się śmierć, chronią się już to w norach, już w gąszczach leśnych, dla spokojnego skonania. Mniemanie to opiera się na znanym powszechnie fakcie, że mimo olbrzymiej śmiertelności wśród zwierząt różnych typów, klas, rodzajów i gatunków, nadzwyczaj mało widzimy trupów tych zwierząt. Zjawisko to może być tłómaczone w sposób dwojaki: albo zwłoki zwierzęce podlegają nader szybkiemu rozkładowi albo też istotnie zwierzęta, czujące zbliżający się kres życia, ukrywają się w jakichś nieodstępnych miejscach.

O psach i kotach wiemy na pewno, że na pewien czas przed śmiercią uciekają z domu, aby umrzeć w jakimś oddalonym kącie. Możliwem jest, że zwyczaj ten przedstawia pewną pozostałość po okresie bardzo dawnym życia tych gatunków zwierzęcych — jeszcze przed przyswojeniem ich przez człowieka. Króliki umierające wychodzą ze swych nor i umierają na otwartem powietrzu, a czynią to z własnej woli, nie zaś me wypędzone przez swych współtowarzyszy, jak to zwykle dotąd przypuszczano; tak samo zachowują się susła i nornice. Myszy opuszczają swe nory zwykłe, lecz za to kryją się w jakichś innych, cichych i oddalonych szczelinach. Ciężko zranione kozły skalne, opuszczają swe stado, szukają samotnych rozpadlin skalnych, i tam leżąc, liżą swe rany i oczekują wyzdrowienia lub śmierci. Chore słonie szukają samotności w miejscach pustych i niedostępnych. Lamy przed śmiercią dążą do pewnych, określonych miejscowości, które z biegiem czasu zmieniają się w istotne cmentarzyska.

Ptaki umierające uciekają od światła i poszukują miejsc zacienionych. Tak przynajmniej utrzymuje dr. Ballion i tłómaczy w ten sposób fakt znany, że trupy ptaków nader rzadko znaleść można. Choć z drugiej strony, koty i szczury często stają się naturalnymi grabarzami trupów ptasich.

Wobec tych wszystkich faktów, dr. Ballion kładzie szczególny nacisk na przypuszczenie, że większość zwierząt dzikich, czuje zbliżającą się śmierć, chowa się po miejscach niedostępnych i dlatego też tak rzadko znajdujemy ich szczątki. Lecz nie należy zapomnieć, że istnieje w przyrodzie cała falanga istot, żyjących ze śmierci innych, że całe zastępy grabarzy, zarówno zwierzęcych, jak roślinnych, czyhają na każdego nowego trupa, wprędce zostawiając tylko szkielet biały, który również szybko ulega butwieniu i rozkładowi zupełnemu. Dzieło zniszczenia trupa, a właściwie oczyszczenia okolicy od szczątków złowonnych, zaczęte przez zwierzęta — kończą drobnoustroje, działalnością swą przyspieszające sprawę rozkładu. W taki sposób znikają z powierzchni ziemi szczątki ofiar brutalnej walki o byt, a całokształt istot żywych przedstawia się wzrokowi powierzchownego obserwatora, jako wyraz harmonii i spokoju.

Nowe książki.

Maryan Gawalewicz. **Warszawa.** Powieść społeczno-obyczajowa. 3 tomy.

Dla przyszłego historyka obyczajów i życia Warszawy dostarczy ta trzytomowa powieść M. Gawalewicza niezmiernie ciekawego materyału. Kto chce nabrać wyobrażenia o atmosferze, panującej w Warszawie w ostatniem dziesięcioleciu, kto chce się zapoznać z psychologią Syreniego grodu u schyłku XIX wieku, ten niech przeczyta tę powieść, która przed rok przeszło zaostrzała ciekawość czytelników „Kuryera Warszawskiego“. Warszawa odbija się w niej, jak w zwierciadle, wszystkie jej warstwy, począwszy od arystokracyi, a skończywszy na drobnem mieszczaństwie i wielkiej burżuazyi, występują tu ze wszystkiemi swemi wadami i zaletami, a nie brak między niemi i takich, które czynią wrażenie, że są malowane, prawie chciałoby się rzec: fotografowane z natury. Pozatem powieść ta odznacza się zwykłymi przymiotami innych utworów Gawalewicza, który obserwuje przenikliwie i trafnie, zna doskonale świat, który opisuje, a pisze lekko, wykwintnie, stylem potoczystym, obrazowym, nie pozbawionym poezyi i wdzięku.

* *
*

Edward Bogusławski. **Metoda i środki poznania czasów przedhistorycznych w przeszłości Słowian**

Autor tej pracy — jak to sam wyznaje w przedmowie — nie jest ani lingwistą, ani etnografem, ani socyologiem, ani archeologiem, jest tylko historykiem, którego specyalnością jest historya, i to specyalnie historya Słowian... Różniąc się poglądami zasadniczo od innych historyków, autor stara się uzasadnić metodę swych badań, a metoda ta doprowadza go do wniosku, że Słowianie mieszkali na znacznym obszarze Europy zachodniej... już w epoce neolitycznej, poczem, w epoce bronzu, wytworzyli dwie kultury: świetniejszą halbsztadzką i uboższą łużycko-szląską. Z tej ostatniej wytworzyła się z czasem — zdaniem autora — kultura słowiańska.

* *
*

Adolf Strzelecki. **Szekspir i Bakon.** Studyum.

Autor kreśli genezę i rozwój trwającego pół wieku sporu o to, czy autorem dramatów i tragedyj, wsławionych pod imieniem Szekspira, był w istocie sam Szekspir, czy też współczesny mu filozof, Bakon. Umiejętna analiza dzieł, wykazująca szereg błędów przeciwko wiedzy historycznej i przyrodniczej, aż nadto dowodzi, że autorem ich nie mógł być Bakon — jak sądzą ci, którzy niekrytycznie podziwiają głębokość naukowej wiedzy twórcy dramatów. Z drugiej strony wspaniała poetyczność utworów również przemawia przeciw autorstwu suchego i mozolnie wypowiadającego myśli swoje Bakona. Imię Wiliama Szekspira, otoczone chwałą nieśmiertelną, słusznie pozostaje w panteonie literatury.

* *
*

Antoni Lange. **Fragmenta.** Poezye wybrane.

Ponieważ dwa tomy poezyj autora „Pogrzebu Shelleya“ wyczerpały się parę lat temu, przeto wybór niniejszy, dokonany przez samego autora, ma uzasadnioną racyę bytu, — tembardziej, że istotnie znalazło się w nim wszystko, co najlepszego kiedykolwiek wyszło z pod pióra poety. Znalazł się w nim oczywiście i „Latający Holender“, który bodaj czy nie jest szczytem, do jakiego wzniósł się niepośledni talent Langego.

TUTKI

ze specyalnej bibułki „ABADIE“

„PRIMUS“

są powszechnie uznane
za najlepsze!

Wszędzie do nabycia.

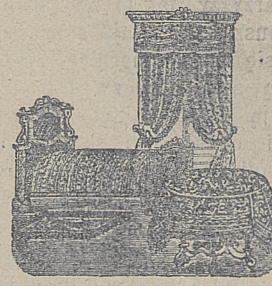
FABRYKA
LWÓW
MICKIEWICZA L. 2

35—52

Gotówka nie wymagana.

Ulgi w spłatach wedle umowy.

Cenniki na prowincyę na żadanie gratis i franco.



Wszelkie możliwe gatunki dywanów salonowych ściennych, pokojowych i kościelnych tudzież chodników, portyer, firanek, cerat linoleum, kap na stoły i łóżka, kołder, koców, der na konie i przedmiotów dekoracyjnych poleca znana i renomowana firma

Wiedeński magazyn i skład dywanów

„AU LOUVRE“

we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6.
(pasaż Hausmana)

Filia w Przemyślu ul. Mickiewicza l. 4.

Prawdziwe perskie i oryentalne dywany po zniżonych cenach. — Specyalny oddział resztek i towarów wysortowanych i wadliwych.

32—44

Główny skład rowerów angielskich
aparatów fotograficznych
i wszelkich przyborów.

Moim Szanownym P. T. odbiorcom udzielam wszelkie reperacye bicyklów **bezpłatnie**, zaliczam tylko dodany materyał. — Wypożycza się rowery.

Systematyczna szkoła jazdy na rowerze.

Dziękuję za dotychczasowe względy.

Z szacunkiem

Herman Gottlieb

Przemyśl, ul. Franciszkańska (pod wieżą).

½ kilo pierza gęsiego tylko 60 ct.

Rozsełam zupełnie nowe, szare pierze, ręką darte, pół kilo tylko 60 ct., te same w lepszym gatunku tylko 70 ct. w pocztowych pakietach próbnych 5 ko. za pobraniem pocztowem.

J. KRASA

handel pierzem w Smichowie koło Pragi (Czechy).

Wymiana dozwolona.

Upraszam o dokładny adres.

KANTOR WYMIANY
BANKU GALICYJSKIEGO
dla handlu i przemysłu

ul. Jagiellońska l. 3. I. piętro

(dawny lokal Banku kredytowego)

zawiadamia P. T. Publiczność, że kupuje i sprzedaje wszelkie **papiery wartościowe i waluty zagraniczne** po możliwie najskrupulatniejszych kursach, uskutecznia pod takiemi samemi warunkami wszelkie **zlecenia giełdowe** zarówno na giełdzie wiedeńskiej, jak i giełdach zagranicznych, wydaje na wszystkie znaczniejsze miejscowości świata i zagraniczne miejsca kąpielowe bezpośrednie przekazy i listy kredytowe, wreszcie **wypłaca wszelkie kupony** możliwie bez potrącenia jakiejkolwiek prowizyi inkasowej 27—52

Godziny urzędowe: od 9—12½ przedpołudniem i od 3—4½ popołudniu.

HOTEL POLSKI
w KRAKOWIE
przy ulicy Floryańskiej

poleca Szan. Publiczności pokoje, wzorowo i elegancko z komfortem urządzone.

Ceny niskie i dla każdego przyjeżdżającego bardzo przystępne.

Zarząd postarał się o wszelkie wygody, by każdy gość był zadowolony, za które poręcza się.

Z poważaniem

2—24 **Zarząd Hotelu Polskiego** w KRAKOWIE.

Pierwsze składy
obuwia karlsbadzkiego

Adolfa Lonkera

ulica Hetmańska l. 16. (Bank zaliczkowy)

LWÓW

ulica Karola Ludwika l. 21. (Hotel Bristol).

Obuwie tylko ręcznej roboty dla pań, panów i dzieci. — Najnowsze oraz najgustowniejsze fasony i olbrzymie zapasy. Najwykwintniejsze wykończenie i staranna trwała robota. Ceny najniższe, fabryczne, wyciśnięte wraz z marką ochronną na podeszwie każdej pary. 6—6

Ferdynand Güttler

Magazyn towarów modnych

Lwów, ul. Halicka l. 20.

Towar doborowy	**Boa gazowa**	**Aplikacye**
Wielki wybór	**Szale jedwabne**	**Pasmanterye**
Ceny niskie	**Żaboty**	**Paski**
	Weloniki	**Gorsety.**

37—52

DOM BANKOWY i KANTOR WYMIANY

SOKAŁ i LILIEN

we Lwowie, ul. Hetmańska l. 12 (Hotel Langa)

kupuje i sprzedaje listy zastawne Towarzystwa kredytowego, gal. banku krajowego, jakoteż obligacye komunalne banku krajowego i obligacye gal. pożyczki krajowej i wszelkie renty, losy rządowe i prywatne, akcye kolejowe i obligacye pierwszeństwa, również wszelkie monety krajowe i zagraniczne pod najkorzystniejszemi warunkami.

Przyjmuje za mierną prowizyą wszelkie zlecenia wchodzące w zakres interesów bankowych. 38—52

Zlecenia z prowincyi wykonuje jak najrychlej.

Nowo przeniesiony magazyn na plac Maryacki l. 10.
dawniej
Jakubowski & Jarra
obecnie

M. JAKUBOWSKI

poleca
swe wyroby ze srebra chińskiego i przybory kościelne 10—12

Wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.